Nr. 2. Warszawa, dnia 29 Grudnia (10 Stycznia) 1871/2 roku. ROK VIII.

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Świątu), Nr. 3 (nowy).

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ 75
miesięcznie — „ 25

Serya trzecia.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

OD REDAKCYI.

Redakcya pisma ludowego „Zorzy," któremu zpowodu szlachetnych i pożytecznych jego tendencyj, życzymy zawsze szczerego powodzenia, odniosła się do nas z prośbą, o umieszczenie w szpaltach Opiekuna następujących kilku wierszy.

„Na rok przyszły opłata pocztowa od Zorzy, stosownie do ogólnych przepisów, wynosić będzie po kop. 60 od każdego exemplarza, jeżeli opłata wnoszoną będzie z góry *całorocznie*, a kop. 70, jeżeli Redakcya opłacać będzie *półrocznie* z góry. W każdym razie opłata ta stanowi trzecią część ceny pisma na miejscu. Już ta sama okoliczność wywołuje potrzebę, aby Sz. Prenumeratorowie przyjść raczyli w pomoc Redakcyi, opłacając z góry należność całoroczną; a chociaż nie każdemu może to być dogodnie, to nigdy nie należy przerywać prenumeraty po kwartale, bo inaczéj Redakcya, zmuszona opłacać pocztę najmniéj *półrocznie*, ponosiłaby przez to szkodę widoczną. Zresztą korzystniéj jest odrazu przesłać prenumeratę na rok cały, niż częściowo, i opłacać niepotrzebnie kilka razy porto."

Uczyniwszy zadość temu życzeniu Redakcyi „Zorzy," korzystamy ze sposobności, aby z podobną, jak ona do swoich, prośbą, zwrócić się do naszych PP. Prenumeratorów *z prowincyi*, nadmieniając, iż Opiekun, jako *pismo najtańsze w kraju*, ma prawo także do pewnych względów z strony ich i że w nagrodę zadość uczynienia prośbie naszéj, przyrzekamy wszystkim tym z *PP.* Prenumeratorów, którzy *bez pośrednictwa kantorów* i niemniejszą, jak *półroczną* prenumeratę nam załączą,— przesłać, wraz z pierwszą ekspedycyą na imię ich, pisma,—za 20 kop. przyłączonych do prenumeraty i 12 kopijkową markę (na porto), czyli razem za 32 kop. nad prenumeratę;—*Kalendarz Warszawski Illustrowany* na rok 1872, w książce, wartości księgarskiéj 50 kop. (z przesyłką), a który dotąd przesłaliśmy tylko, stosownie do ogłoszenia, samym *rocznym* prenumeratorom Opiekuna i to tym tylko, którzy nam przed 1-szym jeszcze Stycznia, w Grudniu przeszłego roku, także *wprost pod adressem Redakcyi*, nadesłali po 5 rs.

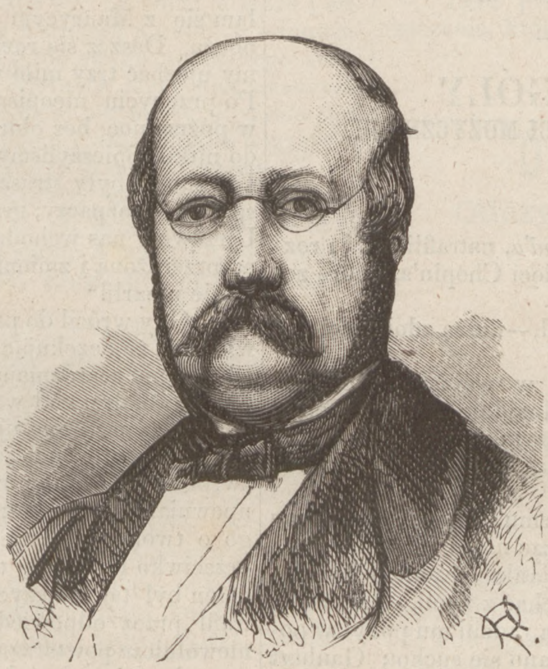
Aleksander hr. Przeździecki.

Nieliczne grono uczonych, pracujących w dziedzinie archeologii i dziejoznawstwa polskiego, straciło w ostatnich dniach roku zeszłego, jednego ze znakomitszych i użyteczniejszych członków. Dnia 26 Grudnia, zmarł w Krakowie, po kilkodniowéj chorobie, Aleksander hrabia Przeździecki, w 58 roku życia.

Szczupłe ramy naszego pisma, nie pozwalają nam na dokładne i wyczerpujące ocenienie zasług tego niezmordowanego badacza historyi i starożytności krajowych. Z konieczności rzeczy wspomnieć musiémy o główniéjszych tylko, — drobne pomijając zupełném milczeniem.

* * *

A i tak mamy do czynienia z zasobem niemałym. Czynne było życie i cele podniosłe, — więc owoce mnożyły się ciągle, aż zebrała się piękna ich wiązka dla przyszłości. Zmarły uczony umiał godzić przekazane tradycyą zasady, z wyobrażeniami nowszych czasów. Wiedział, że nazwisko tyle warte, ile człowiek, który je nosi. Ten aksyomat stał się myślą przewodnią jego życia.



Aleksander hr. Przeździecki.

Urodzony we wsi Czarny Ostrów, gub. Podolskiéj, w 1814 roku,— początkowe nauki pobierał w słynném liceum Krzemienieckiém, a w 1833 roku wstąpił na uniwersytet w Berlinie. Będąc jeszcze studentem téj wszechnicy, odbył w 1835 roku podróż po Szwecyi, Norwegii i Danii, którą następnie opisał i wydał (Warszawa rok 1836). Książka ta, pierwsza próba literackich zdolności Przeździeckiego, doczekała się dwóch wydań. Odtąd rozmaitego rodzaju prace wychodziły z pod pióra młodego literata; pisał pełne życia obrazy okolic, w których się urodził (Podole, Wołyń i Ukraina r. 1841),—powieści (Paweł z Przemankowa i inne), a nawet dramata historyczne (Jadwiga r. 1844).

Od tegoto dramatu, datuje się zwrot stanowczy działalności literackiéj Przeździeckiego ku badaniom historycznym. Korzystając z prawdziwych skarbów biblioteki rodzinnéj, zbiérając skrzętnie wszelkie odnoszące się do historyi szczegóły i materyały w licznych po kraju wycieczkach,—rozszerzał ciągle zakres znajomości dziejów, a dzielił się z ogółem tém tylko, co dokładnie już zbadał, przetrawił i ostatecznie uznał za prawdę. Do znakomitszych prac jego w tym kierunku, zaliczają się przedewszystkiém: „Życie domowe Jadwigi i Jagiełły" (r. 1854), „o Polakach w Bononii i Padwie" (r. 1853), „Listy Hannibala i Kapui" (r. 1852) i mnóztwo drobniéjszych monografij, rozrzuconych po pismach peryodycznych.

* * *

Rozmiłowany w dziejoznawstwie krajowém, Przeździecki podjął poważne ale trudne zadanie,—ocalenia od zagłady najcelniejszych materyałów historycznych, z piérwszych wieków istnienia Polski. W r. 1862 wydał w przekładzie polskim Kronikę Kadłubka, a w kilka lat później, wezwawszy do współpracownictwa najznakomitszych uczonych, zajął się pracą pomnikową,—wydaniem zbiorowém wszystkich dzieł kronikarza Długosza. W tém przedsięwzięciu był nietylko głównym kierownikiem, ale także i w przeważnéj części nakładcą. Niewiele licząc na poparcie publiczne w tego rodzaju publikacyi, przystąpił do działu pochłaniającego kilkanaście tysięcy rubli, z pełną świadomością, że spełnia swój obowiązek, wznosząc dla przyszłych historyografów trwałą podstawę badań.

Wydawnictwo to, prowadzone przez zmarłego, z niewyczerpującą się nigdy wytrwałością, przez lat przeszło siedém,— dotąd jesz-

cze nie zostało ukończoném. O dalsze jego losy mocno się obawiamy. Dotąd wyszła tylko część piérwsza, tomów sześć, zawiérających: „Liber beneficiorum.”

Do pomnikowych prac śp. Przeździeckiego, należą także: „Wzory Sztuki średniowiecznéj”— opracowane wspólnie z baronem Edwardem Rastawieckim, a wydane w Warszawie 1864 r. Chromolitografie do téj publikacyi wykonywane były pierwiastkowo w Paryżu u Lemerciera, a następnie w zakładzie litograficznym Maksymiliana Fajansa w Warszawie.

Jako archeolog, śp. Przeździecki zyskał sobie europejską sławę. Uczestniczył we wszystkich kongresach starożytników, odbytych w ostatnich czasach, — a wszędzie zdanie jego ceniono i chętnie powoływano je dla rozstrzygnięcia trudniéjszych kwestyj. Ostatni kongres historyczno-archeologiczny, na którym się zmarły uczony znajdował,— odbył się w Bolonii, w połowie Października.

* * *

Śmierć przerwała kres tylu działań, w pełni ich rozwoju. Zaskoczyła śp. Przeździeckiego w podróży, kiedy wracał do Warszawy, zbrojny zasobem nowych zdobyczy na polu wiedzy i energią do nowych przedsięwzięć.

Zmarły ukochał całą duszą dwie najszczytniejsze dziedziny człowieczeństwa: wiedzę i sztukę. W życiu otaczał się zawsze wszystkiém, co piękne, a wybiérać. W salonach jego, na wieczorach piątkowych, zgromadzał się cały świat naukowy, literacki i artystyczny Warszawy. Lubił teatr i muzykę, dla sceny pracował nawet, tłomacząc w chwilach wytchnienia celniejsze utwory zagraniczne. Pałac w Pieskowéj Skale, któréj był właścicielem, ozdobił najpiękniéjszemi zabytkami sztuki różnych epok i ludów.

Pogrzéb śp. Przeździeckiego, odbył się w dniu 26 Grudnia w Krakowie. Ciało uczonych, młodzież uniwersytecka i liczne zastępy ludu, towarzyszyły zwłokom zasłużonego męża w drodze wiecznego spoczynku.

CIEKAWE SZCZEGÓŁY
Z ŻYCIA NIEKTÓRYCH ZNAKOMITOŚCI MUZYCZNYCH.
Chopin.

Przeglądając *Historyą życia Jerzego Sand'a*, natrafiliśmy na rozrzucone tu i owdzie ustępy poświęcone pamięci Chopin'a, które zebrawszy w jednę całość, podajemy.

Nieobecność ani śmierć,—powiada Sand,—nie są zdolne zatrzéć wielkich i świętych uczuć przyjaźni.

Znałam niegdyś duszę piękną i czystą w swéj istocie, chociaż chorą i zakłóconą na ziemi, którą wciąż odnajduję żywą w rozmowach moich z umarłymi i marzeniach o lepszym świecie. Mówię tu o Fryderyku Chopinie, goszczącym przez lat ośm w mojéj samotni, Nohant.

W roku 1838, doktorzy nakazali mojemu synowi Maurycemu spędzić zimę w cieplejszym klimacie. Widząc nasze przygotowania do podróży, Chopin, którego geniusz i charakter czciłam wysoko, powtarzał bezustannie, że gdyby mógł pojechać z nami, odzyskałby niechybnie zdrowie i siły. Lekarze oddawna radzili mu pobyt w południowych krajach Europy. Domniemywano się suchot; Gaubert jednak utrzymywał, że płuca miał zdrowe. „Ocalisz go z pewnością, —rzekł do mnie, —jeśli mu dostarczysz słońca, przechadzki i spoczynku.“ Jego przyjaciele, znając go dobrze i wiedząc, że nigdyby nie porzucił ułudnego życia stolicy, chyba uprowadzony przez kobietę kochaną, żywo nalegali na mnie, bym nie odtrącała jego próśb i do leczenia się mu dopomogła.

Uległam ich żądaniom i własnéj życzliwości, a wybierając się w drogę, sama z dwojgiem moich dzieci, z których jedno słabe, a drugie tryskające nadmiarem zdrowia i swawoli, niemało dawały mi kłopotu,—przybrałam jeszcze trzecie, najtrudniejsze podobno do pielęgnowania.

Lecz wielki artysta znajdował się podówczas w stanie zaspakajającym najbardziéj zatrwożonych. Z wyjątkiem Grzymały, który nie łudził się ani przez chwilę, wszyscy krzepiliśmy się nadzieją. Prosiłam wszakże Chopin'a, by dobrze obliczył się z siłami moralnémi, ponieważ od kilku lat nie mógł wspomnieć bez trwogi o opuszczeniu Paryża, stosunków, swojego mieszkania, a nawet fortepianu; przedewszystkiém bowiem był człowiekiem nawyknień i najlżejsza zmiana w codziennych zwyczajach, stanowiła dla niego ważną epokę.

Celem naszéj podróży była—Majorka. Fryderyk przebył jako tako morze, z nadejściem atoli zimy, objawiającéj się ciągłémi deszczami w tym klimacie, zapadł nagle na ból w płucach. Nie wiém, coby się ze mną stało, gdyby Maurycy, cudem prawie, nie odzyskał zdrowia, o doktora bowiem trudno było w tém ustroniu, trudniéj jeszcze o najprostsze nawet lekarstwa.

W opustoszałym klasztorze Kartuzów znaleźliśmy schronienie dogodne i malownicze. Zrana udzielałam lekcyj dzieciom, po południu pracowałam, wieczorem przechadzaliśmy się wszyscy przy świetle księżyca lub czytywali w celach. Gdyby nie widok cierpień naszego towarzysza, a często nawet straszna trwoga o dni jego, pobyt nasz w téj romantyczno-dzikiéj okolicy, zaliczałby się do przyjemniejszych momentów mojego istnienia.

Biedny znakomity muzyk, nieznośnym stawał się pacyentem. Dość odważnie znosząc cierpienia fizyczne, nie potrafił ani trochę hamować wzburzeń imaginacyi. W jego mniemaniu, klasztor pełen był strachów i upiorów. Nie odzywał się wprawdzie z tém otwarcie, lecz zdradzał się ciągłym niepokojem. Wracając z dziećmi z wieczornych wycieczek w ruiny, nierzadko zastawaliśmy go około 11-éj, przy fortepianie, bladego, z najeżonym włosem, oczami błędnémi. Potrzebował kilku sekund, by nas poznać i ochłonąć. Następnie usiłował śmiać się z siebie i grywał nam wzniosłe rzeczy, skomponowane podczas naszéj nieobecności, czyli raczéj wypowiadał na instrumencie ponure i straszliwe myśli, trapiące go w chwilach samotności, smutku i przerażenia. Tamto również napisał najpiękniejsze z tych drobnych fragmentów, skromnie *preludyami* zwanych, a które są istnémi arcydziełami. Wiele z nich przedstawia wizye zmarłych mnichów, z ich żałobnémi śpiewami, inne są melancholijne lub wesołe, stosownie do wrażeń czerpanych z zewnątrz. Słońce, śmiechy dzieci bawiących się pod oknami, śpiew ptasząt, dalekie dźwięki gitary, widok bladéj róży rozkwitłéj na śniegu, słodko usposabiały ten umysł wrażliwy. Za to inne tchną dziką rozpaczą i chociaż czarują ucho, rozdzierają serce. Jedna szczególniéj, wysnuta podczas burzliwéj nocy, wlewa do duszy ponure zwątpienie.

Dnia jednego, korzystając z lepszego stanu jego zdrowia, udałam się z Maurycym do Palmy, po niezbędne zasiłki dla naszego obozu. Deszcz się rozpadał, strumienie wezbrały, zaledwie zdołaliśmy ujechać trzy mile w przeciągu sześciu godzin, wpośród powodzi. Po przebyciu nieopisanych niebezpieczeństw, wróciliśmy do domu w późną noc, bez obuwia, opuszczeni przez woźnicę, przemoknięci do nitki. Spieszyliśmy się ze względu na przesądy naszego chorego. I w istocie były straszliwe, lecz już jakby skrystalizowane w rodzaj spokojnéj rozpaczy; grając bowiem cudowną melodyą, płakał cicho... Ujrzawszy nas wchodzących, zerwał się z krzykiem, następnie z miną przerażoną i zmienionym głosem, rzekł: „Ach wiedziałem dobrze, żeście umarli!“

Gdy wrócił do przytomności i wysłuchał naszych przygód, opowiedział, że oczekując nas, widział je wszystkie jakby w pół śnie, daléj, że nie rozróżniając już złudzeń od rzeczywistości, uspokajał się stopniowo, drętwiał wciąż, grając na fortepianie.. zdawało mu się, że umiera, aż nareszcie, ujrzał się utopionym na dnie jeziora. Krople wody cięższéj i zmrożonéj, jedna po drugiéj padały mu na piersi. A skorom zwróciła jego uwagę na krople deszczu miarowo uderzające o dach, upewniał, że nie słyszał ich poprzednio, gniewając się za posądzanie go o tworzenie harmonii naśladowniczéj. Z całych sił powstawał przeciwko naiwności takich imitacyj. I mówił prawdę. Geniusz jego pełen był tajemniczych harmonij przyrody, które uplastyczniać potrafił przez odpowiedniéj wartości formy muzyczne, nie zaś przez niewolnicze powtarzanie zewnętrznych dźwięków. Kompozycya owéj nocy brzmiała kroplami deszczu, uderzającemi głośno o dach klasztorny, lecz w jego imaginacyi i śpiewie wytłómaczyły się one przez łzy, spadające z nieba na jego serce.

Geniusz Chopin'a odznacza się największą głębią i najwznioślejszém uczuciem. Pojedyńczemu instrumentowi kazał on przemawiać głosem nieskończoności. W dziesięciu linjach streszczał poematy wielkiéj szczytności, dramaty niezrównanéj energii. Nie potrzebował żadnych prawie środków materyalnych dla wypowiedzenia słowa swojego natchnienia. Nie używał ani saxofonów, ani oficlejdy, by duszę napełnić przerażeniem; ani organów, ani głosu ludzkiego, by wzbudzić w niéj wiarę i zapał. Massy nie rozumiały go i nie rozumieją dotąd. Trzeba znacznego postępu w smaku i pojęciu o sztuce, by dzieła jego stały się popularnémi. Nadejdzie wszakże pora, w któréj zorkiestrują jego utwory bez żadnéj zmiany w partycyach fortepianowych, a wówczas okaże się dosadniéj, że talent ten, tak rozległy, tak zupełny, tak uczony jak najwyżsi mistrze, których wchłonął—zachował jeszcze indywidualność wytworniejszą niż Sebastyan Bach, potężniejszą niż Beethoven, dramatyczniejszą niż Weber. Jest on nimi trzema zarazem i samym sobą jednocześnie, to jest: wykwintniejszym w smaku, surowszym w powadze, tragiczniejszym w boleści. Mozart tylko go przewyższa, ponieważ

autor Don Juana posiadał spokój zdrowia, a ztąd wynikającą pełnią życiową.

Chopin znał swoję siłę i słabość. Ostatnia wypływała u niego z nadmiaru potęgi, niemiarkowanéj należycie. Nie zdolnym był do tworzenia, jak Mozart, arcydzieła o barwie jednolitéj. Jego muzyka skrzy się przepaściami i niespodzianką, wpadając niekiedy w dziwaczność, tajemniczość i zamięszanie. A chociaż sam czuł wstręt do wszystkiego co niejasne, porywany często przez niezwykłe uniesienia, wzlatywał bezwiednie w sfery jemu dostępne jedynie. Ja byłam może złym sędzią dla niego (radził mię się bowiem, jak Molier swojéj kucharki), ponieważ znając go doskonale, łatwo mi przychodziło wcielać się we wszystkie fibry jego organizacyi. Przez lat ośm, codziennie prawie wtajemniczana w każde jego natchnienie lub medytacyą muzyczną, słuchając gry jego, rozumiałam wszystkie zachwyty, troski, zwycięztwa i tortury jego myśli. Pojmowałam go przeto równie dokładnie, jak on sam siebie. Niewątpliwie słuchacz mniéj z duszą tą obznajmiony, zmusiłby go był do większéj jasności.

Za młodu miewał on momenty pogodne i wesołe. Pisał śpiewy i romanse czarownéj prostoty i słodyczy. Niektóre ówczesne kompozycye, są jakby kryształowémi jeziorami, odbijającémi ciepłe promienie słońca. Ale te spokojne zachwyty kontemplacyi, jakże rzadko zdarzały się u niego! Śpiew skowronka w obłokach i cichy szmer pływającego po nieruchomych wodach łabędzia, stanowiły dla niego objaw piękna w spokoju. Żałosny krzyk orła na skałach Majorki, ostry świst północnych wichrów i ponure spustoszenie okolicy okrytéj śniegiem, dotkliwiéj i dłużéj go zasmucały, niż radował wesoły śpiew maurytańskich rolników, woń pomarańczowych kwiatów i wdzięk winnéj latorośli.

To samo działo się z jego usposobieniem, w każdéj innéj okoliczności. Czuły przez chwilę na słodycze przyjaźni i uśmiechy losu, dręczył się całémi tygodniami z przyczyny lada niezręczności obojętnego mu człowieka, lub drobnych materyalnych przeciwności. Co zaś dziwniejsza, że wielkie boleści mniéj go truły, niż małe przykrości. Zdawało się, że nie posiada dość sił, by pojąć je zrazu i odczuć następnie. Głębokość więc jego wzruszeń nie szła w odpowiednim stosunku do ich przyczyn. Co do swego opłakanego zdrowia, godził się na nie heroicznie w istotnych niebezpieczeństwach; w przejściach małéj wagi, trapiąc się niém bez miary. Podobne zresztą niekonsekwencye, są przeznaczeniem i właściwością wszystkich istot, posiadających nadmiernie rozwinięty system nerwowy.

Z przesadném pojęciem szczegółów, wstrętem do ubóztwa i potrzebą wyrafinowanego dobrobytu, nic dziwnego, że znienawidził Majorkę, w przeciągu kilku tygodni. Z początku zbytnie jego osłabienie, późniéj przeciwne wiatry, długo nie dozwalały myśléć o opuszczeniu wyspy.

Nasz pobyt w klasztorze Valdemosa, stał się tedy męczarnią dla niego i dla nas. Chopin tak słodki, wesoły, ujmujący w towarzystwie,—przywodził do rozpaczy chory i w zażyłości wyłącznéj. Charakter posiadał najszlachetniejszy, dowcip najwytworniejszy, intelligencyą żywą, umysł poważny i całkowicie w właściwym mu kierunku rozwinięty, uczucie obowiązków przyjaźni najwznioślejsze i najwierniejsze, lecz zato, niestety, niczyj humor nie był tak zmiennym, żadna imaginacya więcéj drażliwą i szalejącą, żadna drażliwość skłonniejszą do irytacyi, niczyje wymagania serca trudniejszémi do zadowolenia. A wszystko to złe, nie było jego, lecz choroby winą. Drobny fałd listka róży, brzęczenie latającéj muchy, raniły do żywego ten umysł wrażliwy. Prócz mnie i moich dzieci, znienawidził wszystko pod niebem Hiszpanii.

Z końcem zimy, opuściliśmy nareszcie Majorkę, udając się do Barcelony, następnie do Marsylii, gdzie przywołany najsławniejszy lekarz Cauvière, znalazł stan Chopina mocno zagrożonym, lecz po jakimś czasie, widząc szybki jego powrót do zdrowia, uspokoił nas, przepowiadając mu nawet długie życie przy wielkich staraniach i pieczołowitości. Z wiosną, udaliśmy się do Genewy, a wkrótce potém do Nohant, gdzie Maurycy, radykalnie uleczony z reumatyzmów, rósł czerstwy i silny. Chopin, poddany powtórnie konsultacyi lekarzy, nie okazywał już żadnych symptomatów choroby płucnéj, ale tylko lekki chroniczny defekt krtani, niegrożący żadném niebezpieczeństwem.

Po powrocie z Majorki, postanowiłam stale zamieszkać w Nohant, zająć się kształceniem moich dzieci i piórem zarabiać na utrzymanie. W sumieniu mojém staczałam walkę, czy urzeczywistnić coraz natarczywsze żądanie Chopin'a, stałego zamieszkania przy nas. Wiejska moja ustroń, Nohant, przedstawiała istotnie korzystne warunki dla delikatnego zawsze zdrowia Fryderyka: powietrze łagodne, okolicę spokojną, otoczenie sympatyczne i tkliwą opiekę w razie choroby. Przez niejedno więc lato mógłby tam odzyskiwać siły, wyczerpywane w zimie sztucznem życiem salonów paryzkich.

Pewien jednak rodzaj trwogi budził się w mém sercu w chwili stanowczéj. Miałamże pracę, spokój, talent, pieczę nad dziećmi, poświęcić fantastycznéj i słabowitéj istocie, wymagającéj bezustannego zajęcia? Namiętność nie zaślepiała mię bynajmniéj. Czułam dla wielkiego artysty uwielbienie głębokie i prawdziwe, lecz niezdolne w méj piersi zrównoważyć przywiązania do dzieci moich i względem nich obowiązków. Zresztą byłam wówczas w wieku, w którym miłość łatwo rodzi się w duszy niewieściéj. Ta okoliczność mojéj młodości, sytuacyi i przeznaczenia kobiety-artystki, mającéj zwłaszcza wstręt do związków przemijających, kazała mi bacznie wniknąć w siebie i chronić się wszelkich sposobności, mogących zamącić swobodę myśli i uczuć. Po głębszym namyśle atoli, obawa ta znikła zupełnie, a raczéj przybrała charakter wprost przeciwny, czyli że właśnie wydała mi się tarczą przeciw wzruszeniom, których już doznawać nie pragnęłam. Jeden więcéj obowiązek w istnieniu, tak zapełnioném pracą i troską, jak moje, winien był tylko zbliżyć mię do celu zdawna upragnionego, to jest—do życia poważnego i surowego.

Gdybym była urzeczywistniła pierwotny swój zamiar zamknięcia się przez rok cały w Nohant, wyrzeczenia się sztuki i zostania nauczycielką swoich dzieci, Chopin byłby może uchroniony od niebezpieczeństwa, grożącego mu mimo méj wiedzy,—to jest od bezwzględnéj dla mnie miłości; dotąd bowiem nie kochał mię jeszcze w sposób niedopuszczający rozłączenia. Przywiązanie jego podówczas nie było wyłączne i jedyne. Sam opowiadał mi o serdecznem zajęciu, pozostawioném w Polsce; o słodkiéj sympatyi zawiązanéj w Paryżu i łatwo kontynuować się dającéj; o uczuciu dla matki, graniczącém z namiętnością prawie, zdala od któréj przywykł żyć wszakże. Zmuszony oddalić się odemnie dla zarobku, ponieważ utrzymywał się jedynie z swéj pracy, byłby niechybnie, po sześciu miesiącach pobytu w Paryżu i wylaniu kilku łez tęsknoty, uleczył się z uczuć niezbyt jeszcze zakorzenionych i wrócił do dawnych światowych nawyknień, powodzeń i intellektualnéj zalotności. Nie należało mi o tém wątpić i nie wątpiłam....

Lecz przeznaczenie popychało nas w więzy długiego stowarzyszenia, którego uniknienie nie leżało w naszéj mocy. (*d. n.*)

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

Odczyty publiczne, miane w Krakowie,

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(*Ciąg dalszy*).

a). Niedołęztwo.

Niedołęztwem nazywamy ową smutną chorobę duchowego ustroju człowieka, którą tenże owładnięty, okazuje niby śpiący i marzący w letargu, bezsilną jakąś i zwierzęcą obojętność na wszelkie wrażenia zewnętrzne.

Szczupły zapas wrażeń, które jedynie na umysł jego wpływ pewien wywierać mogą, przeżuwa *niedołężny* powoli, jak bydlę swą paszę jałową. Przy braku pojętności i wyobraźni, rzadko kiedy błyśnie dowcipem; a i to gdy mu się ten ostatni nadarzy,—jest płaskim. O bystrości myśli jego nie może być nawet mowy, bo też i cienia przymiotu tego wymagaćby po nim nie było podobna! Istoty takie należą do najniesmaczniejszych okazów w towarzystwie ludzkiém, a ponieważ na domiar ich upośledzenia, obdarza je zwykle natura porządnym zasobem zarozumiałości, — przeto stają się stokroć nieznośniejszémi jeszcze, stanowiąc tém samém jeden z najtrudniejszych szkopułów dla nauki wychowania.

Niedołężne dzieci kształci się z największym mozołem, ponieważ najtroskliwszemu wpływowi zewnętrznemu nawet, nie dozwalają one żadnego prawie przystępu. Kreaturom takim brak zresztą ambicyi, namiętności i ciekawości, tak, że niczém je rozruszać i niczém pozyskać dla siebie nie można. Wegetują życiem posępném, w sobie samych zamkniętém. Zdaje się, jakby mróz jakiś zastudził ich organizm, jakby wkoło nich cień jakiś się roztoczył, by im zasłonić cały przed oczyma widnokrąg. Dlatego wszelkie jakiebądź oddziaływanie na podobne istoty, zdaje się żadnego nie zapowiadać skutku. A jednak myli się bardzo pedagog, któryby przed smutném widmem takiéj wiary opuszczał ręce. To drzemanie bowiem na jawie, ta nieubłagana niby apatya, cechująca dusze takich dzieci, może być rozbudzoną do zdrowego życia i zmienić się nawet w dość energiczną umysłową działalność, zapośrednictwem wynajdywanych

umiejętnie przez nas i kierowanych na uwagę podobnych dzieci, wrażeń. Zatamowana cyrkulacya duchowych żywiołów winna zostać gwałtownie i mocno potrąconą, a śpiące, że się tak wyrazimy, organy, zniewolone do podwójnych, niźli je odbywać zwykły, posług.

Celu tego nauka nie doszłaby tym razem drogą tylko samego wpływu na stronę *duchową* powierzonego swéj pieczy organizmu, albowiem owszem, właśnie, przedewszystkiém i rozbudzanie jednoczesne i zupełnie stosunkowe ciała i umysłu, winno być drogą, po któréj do powyższego celu taż nauka zdążać powinna, uzbroiwszy się, dodamy jeszcze, w najenergiczniejsze środki, jakie tylko pedagogika, w dzisiejszych osobliwie już czasach, ma po temu w swojém rozporządzeniu. Gimnastyka, ruch ciągły i przechadzki pieszo, śród których nauczyciel pod uwagę ucznia wszystko to podsuwać winien, cokolwiek na nim jakiekolwiek wrażenie wywrzéć może; winien — tak jest—korzystać z zaciekawienia się jego nad każdym przedmiotem i śpiącemu umysłowi nie dawać ani na chwilę spoczynku;—oto leki na *niedołęztwo*. Przy niezmordowanéj, a nieustannéj w ten sposób uprawie takiego jałowego gruntu, zacznie *niedołężne* dziecię,—jeżeli się kuracya wynikle prowadzi,—rozwijać lepsze przymioty swego flegmatycznego temperamentu, mianowicie dojdzie do łatwiejszego rozmysłu i chętniéj zacznie zwracać na świat zewnętrzny uwagę, dopóki nakoniec nie zdoła się podnieść aż do zupełnie jasnéj trzeźwości ducha i nie przyzwyczai powoli do cichéj pilności w porządkowaniu wrażeń od przedmiotów, które przedtém dla niego obojętnémi całkiem były.

Odrodzenie zaś podobne istoty dotkniętéj kalectwem *niedołęztwa*, nie będzież wówczas dla nas prawdziwą nagrodą za trudy, na korzyść jéj poświęcone?

b). Zarozumiałość.

Nieznośny ten nałóg mięszania się do wszystkiego i występowania ze swém absolutném zdaniem, bez względu na miejsce i okoliczności, w jakich się zarozumialec znajduje, — brak właściwego tonu, stanowiącego także coś przy podnoszeniu jakiegokolwiek rozumowania i przeprowadzaniu twierdzeń swoich, — wreszcie owa niepowściągliwość, passya raczéj, rozprawiania o wszystkiém bez wyjątku i pretensya do pojmowania wszystkiego lepiéj od innych, bez żadnéj na to, bądź opartéj na doświadczeniu, bądź na nauce podstawy;—oto znamiona płytkiego umysłu i niedojrzałego uczucia.

Wada ta jeśli się objawia w dzieciach, jest w nich z pewnością wypływem złego wychowania, znarowienia, ich zrazu do zuchwalstwa względem starszych, następnie do samorządu; przyzwyczajenia wreszcie do naśladownictwa, czyli,—przepraszamy za wyrażenie,—do małpowania. Charakter zbyt wcześnie dojrzałych dzieci przybiera, niestety! zwykle taki kierunek jednostronnierozumny. Przyczyną tego zwichnięcia, zawsze rodzice sami. Nazywając np. jak to się często zdarza, wszelki objaw obrotności, lub też mniéj więcéj wykazującego się sprytu, nadzwyczajnym pomysłem zaraz i genialnością; objaw gadulstwa innym razem, zdolnością Demostenesowską do krasomówstwa i t. p. — nierozsądną tą admiracyą przyuczają swego wychowanka, do oczekiwania ciągłych już potem pochwał od otoczających go osób, do puszenia się jak paw' przy lada okazyi i do mądralskiéj próżności, będącéj, jako śmieszność w oczach ludzi, przyczyną wielu istotnych cierpień i upokorzeń w późniejszém jego życiu.

Podobną wadę nauka wychowania w stanie jest tylko wykorzenić przez korzystanie z każdéj sposobności, aby niedościgłego w ten sposób półmędrka, na każdym kroku własną jego niedorzecznością zawstydzać,—lub,—co jest daleko skuteczniejszém jeszcze, do gruntownego rozbioru własnych sądów i pilnego, ciągłego uczenia się, napędzać.

Oba te środki prowadzą najpewniéj do zamierzonego celu; zwłaszcza, skoro się uda przekonać zarozumialca, że się nieskończenie więcéj umiéć powinno i może, nad to, co mu się wydaje za zupełnie już wystarczającém do prawdziwéj wiedzy; że droga do doskonałości jest niezmiernie daleka dla ludzkości nawet całéj, nietylko jednostki tu na ziemi; że po niéj gdy idziemy nieustannie a mozolnie, jeszcze wtedy, w części zaledwie tylko zasłużyć sobie możemy na uznanie ludzi wyższych i społeczeństwu prawdziwie użytecznych, że dla tegoż społeczeństwa kształcić się winniśmy gruntownie zawsze i wszechstronnie.

Towarzystwo zwyczajnego, albo miernego uzdolnienia, bywa dla zarozumiałych dzieci nader szkodliwe, ponieważ pośród niego udaje im się najłatwiéj przyjść do pewnéj powagi i wyrobić tém samém w sobie przekonanie, prowadzące właśnie prosto do zarozumiałości, że umysłem swym wyżsi nad wszystkie znane sobie indywidua, są wyżsi i nad świat cały.

Któż zarozumialcowi takiemu napominać wtedy będzie znane i stare, a mędrsze od innych przysłowie: że „między ślepymi i jednooki—królem?“ (*D. c. n.*)

NA SASKIEJ KĘPIE, W LECIE.

(Patrz drzeworyt, str. 13).

Któż z nas, mieszkańców Warszawy, nie zna Saskiéj Kępy? kto z nas nie był na niéj chociaż raz w życiu, aby po długiém zamknięciu w murach miasta, odetchnąć swobodnie czystém, zdrowém powietrzem, polubować oko pięknym widokiem na ubrane w mgłę lub w promienie szczyty warszawskich gmachów i kościołów, odgrywając zarazem spacer wodny przez sine nurty Wisły?

Miejsce to, nietyle puste ile raczéj pustelnią tchnące, dziwny w sobie w dnie powszednie przedstawia urok. Czuje się tu jakimś swobodniejszym, młodszym i rzeźwiejszym mieszkaniec Warszawy; pełniejszémi piersiami oddycha. Zieleń drzew rosnących tu obficie i bujnéj murawy, usposobi go prędko do wesołych myśli. Artyści téż często bardzo zaglądają tam dla rysowania lub malowania studyów. Saska Kępa dla nich, jest, można powiedzieć, jedyną ucieczką w potrzebie, gdy koniecznie naturę miéć trzeba przed okiem.

Cisza—spokój—słychać szum drzew kąpiących swe odbicie w powierzchni wody—świergot ptasząt pomiędzy ich gałęziami—na murawie prowadzą rozhowor owady, a motylki latają z kwiatka na kwiatek, (bo i tych ostatnich nawet tu nie brak) — gdzieś, z za drzew gromady, mignie jaki samotny spacerujący... I oto obraz Saskiéj Kępy w dzień powszedni!

Nie taką jednakże jest już w niedzielę, lub w inne święto. Zmienia się nie do poznania, przybiera nowe, bardziéj rozmaite, ale mniéj powabne szaty. Tysiące spragnionych wiejskiego powietrza pracowników całotygodniowych, a uwolnionych teraz od ciężkich swych zajęć, biegnie tu wówczas rozerwać się i ożywić. Spotkać tam można wszystkich stanów i fachów ludzi, od osób przybyłych powozami aż do najbiedniejszych uliczników i piaskarzy.

Typy są rozmaite i ciekawe do badania. Ot choćby i ta gruppa na naszym rysunku. Składa ją pięć postaci ludowych.

Pracując krwawo przez cały tydzień, kazali się przewieźć w niedzielę na *Kępę* i daléjże używać rozkosznéj swobody! Po huśtawkach, karuzelach, tańcach etc. po odurzeniu się nieco piwem lub i gorzałeczką nawet, rozłożyli się ogólnym obozem nad zielonym brzegiem, by słodkiego posmakować *dolce far niente*.

Ten oto najpierwszy, siedzący na ziemi, oparty na grudce z cegieł, to jakiś czeladnik od majstra rymarskiego; nieźle mu się dzieje, porządniéj od innych ubrany, a i mina niezgorsza. Że tam czapkę trochę po pijacku podniósł daszkiem zanadto w górę, — to i cóż z tego?

Ten leżący, to typ często spotykany, który jednak właściwie nazwy swéj rzeczywistéj nie ma. Nie z jednego chleb jedząc pieca, jak niesie przysłowie, był w dzieciństwie piaskarzem, następnie roznosicielem Kuryerka, w terminie czas jakiś, aż... wyrósł i wyładniał. Pędzi sobie teraz życie trochę próżniacze, bo mu trudno jakoś zawsze do cięższéj roboty się nałamać. Nie myśli o przyszłości. Bosémi nogami takt wybija i gwiżdże aryą—z *Pięknéj Heleny*.

Stojący między nimi, z powkładanemi w kieszenie rękami, to także terminator, ale już od szewca lub blacharza; nie dba o strój, czapkę bez daszka włożył na tył głowy i drwiąco spogląda na rymarczaka.

Na lewo, widzimy figurę zadumaną, z posępnie w swych towarzyszy wpatrzonym wzrokiem. Cóż przyczyną zadumy jego? Przeszłość czy jutro?.. lub też może mu los dziś już serce jaką mgłą rozczarowania, zdrady w miłości lub w przyjaźni, zaprószył? Zbyt młody, to prawda, — lecz czyż i on nie mógł dojrzeć wcześniej jak to się często młodym paniczom zdarza—a dojrzawszy, miéć już ich dolegliwości i smutki?

Ostatni, to napewno ze wsi niedawno przybyły. Nieśmiały jeszcze i lękliwy Walek ciekawie przysłuchuje się gawędom starszych kolegów i postanawia sobie w duszy, prędko wykierować się na porządnego warszawskiego franta.

Te i tym podobne gruppy zalegają prawie cały obszar Saskiéj Kępy w święto. Bawią się na niéj przez dzień cały, a gdy zmrok nadejdzie, wracają do mieszkań swoich, do Warszawy.

Wtedy cichość zalega miejsca, przed chwilą świadki zabawy i wesela.

KILKA PYTAŃ DO UCZONYCH. *)

Małém jeszcze będąc dziecięciem, z przyjemnością przypatrywałam się nieraz ogromnéj kuli słonecznéj, któréj blask olśniewający, zmniejszały mgły jesienne, lub lekkie obłoczki; śledziłam z upodobaniem, za cudowną grą jego blasku, drżącą na cichych wodach jeziora, lub pozłacającą liście drzew, kwiatów, powtarzającą się po milion razy, w drobnych djamencikach rosy porannéj, porozrzucanéj po szmaragdowéj łące. A kiedy złota kula słoneczna, schylając się do zachodu, cudownie malowała niebo, zwolna zapadając za widnokrąg błękitny, pytałam się saméj siebie, ze smutną obawą: czy też słońce jutro powróci znowu?

Późniéj, późniéj, gdy chmury losu zaciemniły nieco jasny horyzont życia, złoty czarowny blask słońca wlewał otuchę do duszy, koił troski, rozniecał nadzieję.

I nieraz w duszy powtarzałam sobie: O jakże smutném byłoby życie bez słońca!

Wszak to ono ogromem swoim, przyciąga do siebie ziemię i cały swój orszak wspaniały, utrzymuje stale każdą z planet, należącą do jego systemu, na drodze wyznaczonéj jéj od Stwórcy, sprawia przypływ i odpływ morza. Ciepło promieni słonecznych, jest główną przyczyną przemian warstw atmosferycznych; ono to tworzy wichry, prądy powietrzne; przeistacza wody zwierciadlanych jezior, rzek, tych srébrnych wstęg ziemi, olbrzymich oceanów, w parę ulotną, gromadzącą się w chmury, w śliczne obłoczki, cudownie nieraz malujące niebo, lub spadające ożywczym deszczykiem na spragnioną ziemię. Ciepło słoneczne, wprawia w ruch wody jezior, rzek, oceanów. Ono to w przeciągu wieków, utworzyło pokłady geologiczne ziemi, krusząc skały za pomocą wód. Ciepło i światło téj olbrzymiéj gwiazdy, daje życie królestwu roślinnemu i zwierzęcemu, a jak mówi Humboldt w swojém *Cosmos*, czynność jego okazuje się spokojnie w ciszy, przez działanie chemiczne, przejawia się w rozmaitych objawach życia; tak w roślinach, tworząc tkanki komórek, jako też w państwie zwierzęcém, zawiązując tkaniny fibr muskularnych i nerwowych. Nakoniec ono to głośno, majestatycznie, przemawia gromem piorunu, huczy w trąbach powietrznych, grzmi w uraganach. Lecz fale światła nie działają jedynie na ciało, nie składają i nie rozkładają jedynie rozmaitych cząstek materyi; ich celem, nie tylko wywoływać z łona ziemi ziarnka roślinne, rozwijać w roślinach materye zielone, malować cudownie kwiatki, lub powtarzać po tysiąc razy, śród wdzięcznych igraszek fal wodnych, albo w kroplach rosy, pozawieszanych uroczo na łodyżkach trawek łąkowych, pochylanych wdzięcznie tchnieniem wiatru, obraz słońca. Światło słoneczne, w miarę swéj siły, blasku i trwania, jest w tajemniczym związku z człowiekiem wewnętrznym, z rozwojem jego zdolności, z usposobieniem smutném lub wesołém jego ducha; co ślicznie wyraził Pliniusz młodszy, w tych słowach: *Słońce rozprasza posępność na niebie i rozpędza chmury, zaciemniające serce człowieka.*

Nic więc dziwnego, że od tylu wieków, całe pokolenia myślących ludzi, dociekały źródeł bytu tego wspaniałego, promiennego olbrzyma, bo on, w najdrobniejszym tworze Bożym rozbudza życie, nieci wesołość i szczęśliwość i tworzy ową harmonią majestatyczną, która jest wspaniałym, pełnym prawdy rezultatem cudów ręki Bożéj.

Im więcéj duch ludzkości rozjaśniał się sam, im więcéj dopatrywał prawdy, tak w świecie ducha, jak materyi,—tém więcéj badał źródło życia.

W tych ostatnich czasach, w których czynny duch ludzki działał najwięcéj, starano się rozwiązać kwestyą trwałości i ubywania światła słonecznego w ciągu wieków.



Na Saskiéj Kępie, w lecie. (Pomysł i rysunek H. Piątkowskiego).

Cicha, nieznana zupełnie światu uczonemu, maluczka pracownica na niwie Bożéj, idąc wązką swoją dróżyną za ogólnym postępem, piastuję od lat kilku myśl, która mi błysnęła w cichém dumaniu, nad promienną gwiazdą życia. Zwierzyłam się z nią kilku przychylnym mi osobom. Jedne z nich uśmiechnęły się na nią z niedowierzaniem, drugie uznały ją za marzenie, inne zachęcały mię do ściślejszego badania; ja sama w końcu, uznałam ją za mrzonkę. Ale od czasu do czasu, myśl ta, przybierając niby ciało, nie daje mi pokoju. Czemuż więc nie mam wyjawić jéj mędrszym odemnie, prosić o objaśnienie. Jeżeli jest ona marzeniem, mędrzec mnie nie wyśmieje, uśmiechnie się tylko z dobrocią. Myśl moja nie rozsunie zapewne drogi, nie naprowadzi na ważne odkrycia, ale na podobieństwo ziarnka piasku, który jest już, na maluczką skalę, światkiem mikroskopowym, będącym w możności przyciągać drobniejsze do siebie atomki i utworzyć, po upływie miliardów wieków, świat olbrzymi, który oświecać będzie nowe słońce, rozbudzi może myśl mędrca.

Myśl ta nie od razu błysnęła mi jasno. Raz, śród bardzo miłego gronka, w jasny, ciepły wieczór majowy, patrzyłam w niebo turkusowéj barwy; pokoik w którym się znajdowałam, słabo był

*) Ponieważ Redakcya ma pewność, iż artykuł ten był napisanym przez autorkę w 1870 r. jeszcze,—to, jakkolwiek jedno z trzech podrzędnych pytań stawianych przez nią, znalazło sobie już w przeszłym, 1871 r. odpowiedź w nauce, — dla samego choćby nieodejmowania honoru odkrycia pani Żdżarskiéj, umieszczamy w całości wszystkie te jéj *pytania do uczonych*. *(Przyp. Red.)*

oświecony światłem lampki. Nagle na tle nieba, zajaśniał wspaniały meteor i rozprysnąwszy się w tysiączne iskierki, przyćmił blask lampki i czarownie oświecił pokoik.

Myślałam często o tym pięknym meteorze i nie raz przychodziło mi na myśl, czy też naprożno, te ogromne bryły, zapalają się nad ziemią, czy w ogromnéj liczbie spadając w słońce, nie przyczyniają się po części, do utrzymywania równowagi jego odwiecznego ciepła?

Z jakąż więc rozkoszą serca wyczytałam niedawno, że fizyk znakomitéj zasługi, p. Tomson, sądzi, iż temperatura gwiazdy słonecznéj, jest utrzymywaną bezustannie przez prawdziwy deszcz meteorów, których szybki bieg, zamienia je w stan płomienia, w chwili upadku.

Zapewne nauka rozstrzygnie nieodwołalnie, może niezadługo tę kwestyą. Lecz nie o to idzie mi jedynie; na inne pytanie pragnę odpowiedzieć i z niém to nieśmiało, zwracam się do uczonego świata.

Jeżeli cały wszechświat jest odwieczną, czynną, nigdy nieustającą pracownią, w któréj wszystko się przetwarza, przerabia, przeobraża; jedno drugiemu daje życie, a nic nie ginie, nie wyczerpuje się naprożno, bo z saméj śmierci, pozostaje życie,—w takim razie, potężny pracownik przyrody (słońce), udzielając bez ustanku światła, ciepła, powinien wzajemnie otrzymywać, odbierać znów to, co sam dał tak szczodrze; gdyż promień jego, marnować się nie może w przestrzeni.

Słońce, według teoryi Laplace'a, dało życie całemu swemu wspaniałemu orszakowi, który, od tylu wieków, krąży około niego bez wypoczynku, idąc wskazaną raz drogą, w jednakowéj od słońca odległości, stosownie do pór roku, a więc składać się musi z tych samych pierwiastków, z jakich złożone są planety; dziwna więc rzecz, dlaczego dotąd, nie stwierdzono w niém bytności złota i tych wszystkich pierwiastków, które tworzą ziemię?

Według odkryć Kirchoffa, promień słoneczny, objawia nam obecność pierwiastków będących w słońcu, gdyż każdy pierwiastek, w płomieniu ma blask odmienny; a jeżeli każde światło jest cząstką słońca, więc ma ono z niémi silne powinowactwo?

Są to trzy pytania, które prowadzą mnie już obecnie do wypowiedzenia mojéj myśli. Krążyłam około niéj dotąd, nieśmiało; teraz wypowiadam ją w formie zapytania. Światło świecy, np. i innych ciał, po spaleniu, pozostawia ślad swego bytu, a promień słońca, czy nic nie zostawia na ziemi? czy jego odwieczne i bezustanne promienie — ta olbrzymia massa ciepła, spływając na ziemię, nie spaliłaby jéj w ciągu wieków, gdyby promienie słońca, nie wracały znów do swego źródła?

Wszak ciepło jest czémś, ciałem; inaczéj promień płonąćby nie mógł.

To więc cóś, zostaje na ziemi, czy też powraca znów do słońca, w skutek cudownéj pracy przyrody?

Wszak słońce jest magnesem. Ono wywiera wpływ na fenomena magnetyzmu i elektryczności ziemskiéj, istniejących we wszystkich ciałach, w ziarnkach nawet piasku. Czemużby więc słońce, wywierając wpływ ogromny na ziemię, nie mogło przyciągać drobnych atomków, które, po upływie wieków, łącząc się z sobą prawem attrakcyi, utworzyćby mogły meteory, spadające na planety i w słońca, z bezmiernych przestrzeni?

Czy nie te atomki, przybyłe z rozmaitych okolic przestrzeni, tworzą owe chmury, pływające w atmosferze słońca, a dopatrzone d. 18 Lipca 1860 roku, w czasie zaćmienia słońca?

O istnieniu tych atomków w dalekich przestrzeniach, wszak mówią uczeni. Porównywając linie ciemne z jasnemi, istniejącemi w widmie słoneczném, doszli do wniosku, że światło wypływające z jądra słońca, musiało przebyć, nim doszło do nas, atmosferę przepełnioną pewnémi waporami metalicznémi. Zkąd one się tam wzięły? czy nie są-to błędne wędrowce przestrzeni?

Zachodzi jeszcze jedno pytanie, które może da jakiś punkt oparcia poprzedzającemu. Nie pytam się, ile milionów lat nasza ziemia istnieje; wié o tém najlepiéj Ten, który jedném *stań się*, światy z nicości wywiódł do bytu; ale pytam się tylko, czy ziemia nasza, przyjmując od niepamiętnych wieków na swoje łono, tyle światów maluczkich (meteorów), płynących ku niéj z bezmiernych przestrzeni, a przyciągniętych prawem przemocy silniejszego nad słabszym, nie może się kiedyś powiększyć? Przypuszczenie to jednakże byłoby błędem, gdyż ziemia od 2,000 lat, ani się powiększyła, ani pomniejszyła, czego dowodzi, taż sama już od 2,000 lat długość dnia i nocy, względnie do pór roku. A więc—jeżeli się nie powiększyła, w skutek spadania na nią meteorów, w tak znacznéj liczbie, od tylu wieków, musiał nastąpić jakiś z niéj ubytek i te same z niéj odłamki (jeżeli to być może, bez zamącenia porządku i odwiecznéj harmonii wszechświata), stały się dla innych światów meteorami. Bo może nie wszystkie meteory, mają swoje narodziny w kolébce oddalonych wieków? Zachodziłaby więc pomiędzy wszystkiémi w ogóle ciałami niebieskiémi, ciągła wymiana, bezustanne udzielanie sobie żywiołu, rozległe stosunki, wspaniała harmonia. Bo i w jakimże celu, musiałyby krążyć w dalekich przestrzeniach, tak drobne wapory atomków, jak świetne gwiazdy spadające, bolidy, aerolity? Zapewne nie w tym jedynie celu, aby ucieszyć oczy nasze widokiem wspaniałym?

Na zakończenie moich marzeń, czynię jeszcze jednę uwagę i pytanie.

Ziemia nasza, jak widzimy, służy nam za zasadę w badaniu odległych światów. Niedosyć na tém: Twórca wszechświata, zsyła nam bezustanku, z oddalonych przestrzeni, okruchy drobne, może w początku będących, lub rozbitych światów, byśmy porównać je mogli z naszą ziemią. Wiedząc więc dokładnie, nietylko z odłamków tych oddalonych niebieskich pobratymców naszéj ziemi, o jéj pokrewieństwie z innémi ciałami niebieskiémi, przekonawszy się nadto, z rozbioru widma słonecznego, o naturze promieni słonecznych, a więc i samego słońca, łatwo przypuścić moglibyśmy następujące mniemanie.

Ziemia nasza, któréj przeszłość przedstawia słońce, odłamek słońca, niegdyś kula rozpalona, zachowała w swém łonie, może na wieczną pamiątkę, ogień pierwotny, który od 2,000 już lat, nie zmniejszył się wcale, pomimo, że ziemia wyrzuca bezustanku, otworami kraterów wulkanów, wybuchy ognia. Ale czy ten ogień, nie powraca w jéj łono tajemnémi drogami; czy dostateczném jest łączenie się pierwiastków w jéj łonie, wytwarzających ogień? Coś podobnego, na olbrzymią skalę, dzieje się może w łonie jądra słonecznego. I z niego wylewają się przez olbrzymie kratery strumienie gazów, udzielających się trzem atmosferom, które je otaczają.

Czy wszystkie przypuszczenia moje, są marzeniami tylko, czy też może, mieści się w nich iskierka prawdy?

Jeżeli mi powiedzą, że marzyłam tylko głośno, to i wtedy błogosławić będę chwilę, w któréj się marzenie to narodziło, gdyż ono dało mi ukochać naukę, jednę z najwspanialszych, któréj, niestety, w naszym oddalonym kątku od świata uczonego, nie mogę poznać bliżéj, głębiéj, lecz tylko posługiwać się muszę czytaniem dzieł popularnych. Jeżeli zaś jest w mojém marzeniu atomek prawdy, złożę dzięki Temu, co stworzył z równą miłością tak myśl moję, jak i promienne słońca i który równie na wielkich duchem, jak i na maluczkich, spuszcza promienie swoje. *Józefa Zdżarska.*

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

Po wielu takich naleganiach ze strony Sybilli i Kennedego, przyszła nareszcie Blanka, ale z taką miną, jakby to czyniła przeciw swojemu własnemu przekonaniu.

— Dla ciebie to, moja jedyna, — szepnęła, całując Sybillę.

— Rozumie się, — wesoło odpowiedziała jéj przyjaciołka.

Blanka uśmiechała się i głaskała czarne włosy Sybilli, a Kennedy spoglądając na nie, pomyślał sobie, iż nie zdarzyło mu się w życiu widzieć piękniejszéj gruppy; gdy nagle komtemplacyą tę przerwało wejście panny Glyn, przebranéj po podróżnemu.

— Przychodzę pożegnać cię, panie Kennedy; — rzekła uroczyście — bo rozumie się, niéma przyczyny, dla któréjbyśmy nie mieli rozstać się po przyjacielsku.

— Bezwątpienia, kochana panno Glyn, — rzekł uprzejmie, podchodząc ku niéj. — Żałuję tylko, iż sądzisz, że nam się rozstać potrzeba.

— Wiész dobrze, panie Kennedy, że nie mogę zostać; dziwi mnie tylko, że zatrzymujesz tu pana Dermot, mając córkę w takim wieku jak Sybilla i wiedząc, jak świat jest złośliwy. I panna Cains tak samo się na położenie zapatruje, kiedy postanowiła odjechać.

— Panna Cains zostaje, — rzekł chłodno Kennedy, — uległa moim i Sybilli prośbom.

— Panna Cains zostaje! — wykrzyknęła panna Glyn, — zatém nie omyliłam się — i spojrzawszy z wyrzutem na Sybillę, dodała:

— Sybillo, jesteś szalona!

Sybilla zarumieniła się, a Kennedy brwi zmarszczył.

— Panno Glyn, zechciéj się wytłómaczyć, — powiedział.

— Nic, nic, — odpowiedziała panna Glyn, ze znaczącém poruszeniem głowy — wiém co mam o tém myśléć, ale niech to przy mnie pozostanie. Bądź zdrów, panie Kennedy; bądź zdrowa, Sybillo; żegnam, panno Cains. Winszuję wam wszystkim rozumu.

Po tych zagadkowych słowach, Miss Glyn wyszła z pokoju, w towarzystwie jednéj tylko Sybilli. Kennedy tak był obrażony, że jéj nie odprowadził. Miss Glyn nie zwracała uwagi na Sybillę, aż dopiero na ganku obejrzała się i rzekła do niéj spokojnie:

— Sybillo, chciałaś robić po swojemu i wyjdzie ci to na szkodę. Postąpiłaś przeciw mojéj radzie; cierpiałaś i jeszcze bardziéj będziesz cierpiała. Ta dziewczyna, to wąż; powinna się nazywać Kainem, a nie Cains. Z jéj powodu, nie zostałaś żoną hrabiego de Renneville. Nie spodziéwaj się wyjść zamąż, dopóki ona tu będzie. Mogłabym więcéj powiedziéć, ale na co się to zdało? Odjadę, ale niedługo powrócę tu w sąsiedztwo i będziesz mogła do mnie przychodzić, ile razy będziesz chciała. Żegnam cię zatém.

Uściskawszy z godnością Sybillę, wsiadła do powozu i odjechała.

Zdziwienie i oburzenie zamknęły usta Sibilli podczas téj przemowy ciotki; kontenta też była z jéj odjazdu. Nie mogła jéj tego darować, że najlepszą jéj przyjaciołkę nazwała wężem.

Nieszczęściem, nie ona jedna słyszała przemowę panny Glyn. Gdy się obróciła do ganku, ujrzała za sobą Blankę, bladą jak śmierć, z błyszczącémi oczyma. Sybilla zarzuciła jéj ręce na szyję.

— Nie wierzę! — zawołała. — Kocham cię, ufam ci zupełnie. Nie wierzę temu.

— Jakiżto ciężki grzech, być ubogą! — ponuro rzekła Miss Cains, zaledwie uważając na pieszczoty Sybilli. — Uboga jestem, więc mnie posądzają o podłość. Sybillo, przysięgam ci, nigdy nie myślałam o panu de Renneville.

— Wiém, wiém, — rzekła Sybilla, prowadząc ją do salonu. Kocham cię i wierzę ci.

W obszernym salonie nie było nikogo. Blanka rzuciła się na fotel przed kominkiem, a Sybilla klękła na dywanie u jéj nóg i spoglądała czule w twarz przyjaciołki, któréj jeszcze łzy stały w oczach.

— Sybillo! — rzekła — nigdy nie będę niedobrą dla ciebie... nigdy, nigdy!

— Niedobrą? — zaśmiała się Sybilla, — czyż ja o tém nie wiém?...

Twarz jéj, podniesiona w górę, wyrażała ideał wiary.

ROZDZIAŁ II.

Długa, jednostajna cisza nastąpiła po wyjeździe panny Glyn w Saint-Vincent. Pani Mush nie pojawiła się; Kennedy nigdy o niéj nie wspomniał, a panna Cains, ku wielkiemu zadowoleniu Sybilli, nie zważała na tę okoliczność i nie mówiła nic o odjeździe.

Tak schodził tydzień po tygodniu, w jednostajném życiu na wsi. Sybilla przestała oddawać wizyty, a także i mało kto zawitał do opactwa, od czasu, jak je opuściła Miss Glyn. Odjazd téj damy i długi pobyt panny Cains, komentowano w różny sposób w miasteczku, szczególniéj na zebraniach u pani Ronald. Kennedy zdawał się być dość zadowolony z ciszy, jaka w jego domu nastąpiła; jedna tylko rzecz psuła mu czasami humor: ani jego prośby, ani rozkazy, nie mogły skłonić Sybilli do pogodzenia się z panem Dermot.

— Obraził mię, — odpowiadała zawsze, — i niepodobna mi prosić go o przebaczenie.

Dermot ze swojéj strony, na podobne napomknienia Kennedego, odpowiadał stanowczą odmową. Jeżeli Sybilla chciała grać rolę obrażonéj, to i on czuł się także obrażonym. Na oziębłe postępowanie Sybilli, odpowiadał obojętnością. Był przyjacielem domu, ale nie kochankiem. Mógł żyć dobrze, bez słonecznych promieni jéj uśmiechów i spać spokojnie, chociaż jéj łaskę stracił. Miss Cains bacznie obserwowała ten stosunek, ale zaledwie raz dotknęła go w rozmowie z Sybillą, która jéj dorywczo odpowiedziała, że nie dba o pana Dermot, ani o jego ton wyniosły; jeżeli myśli ją drażnić swoją obojętnością, to się zawiedzie. Chybaby był ślepy, gdyby nie widział tego, że Sybilla nie dba o niego.

Zaprawdę, pan Dermot i wszyscy mieszkańcy opactwa, chybaby byli ślepi, gdyby nie widzieli, że Sybilla bardzo była ożywiona. Śpiewała od rana do nocy, zajmowała się wszystkiém, śmiała się przy każdéj sposobności. Ale ani poprzednia powaga, ani obecna wesołość Sybilli, nie poruszały pana Dermot, który był ciągle grzeczny i zimny, a w rozmowie poprzestawał tylko na tém, co konieczném było do powiedzenia.

Tak stały stosunki, gdy pewnego razu przy obiedzie, rozmawiając z Kennedym o interessach, zapytał:

— Co sądzisz o braciach Johnson w Kwebeku?

— Nie bardzo dobrze — odpowiedział Kennedy ze szczególnym uśmiechem. — A ty?

Dermot skrzywił usta, błysk jakiś mignął w jego oczach, ale nic nie powiedział. Kennedy téż nie nalegał o wyraźniejszą odpowiedź.

— Co to za bracia Johnson w Kwebeku? — zapytała Blanka Sybilli, gdy przeszły do salonu, zostawiając mężczyzn jeszcze przy stole.

— Nie wiém—obojętnie odpowiedziała Sybilla; pewno jacyś korrespondenci ojca.

— Zielonooki ich nie lubi. Co?

— Co mi do tego, czy on ich lubi czy nie lubi,—odpowiedziała Sybilla.

Blanka rozśmiała się i mówiła daléj.

— Pamiętasz owę czarnooką Annę z Kanady? Wszakże się nazywała Johnson?

— Prawda.

— Nie wiem zkąd mi te Johnsony w głowę weszły.

Sybilla nie odpowiedziała nic: zdawało jéj się, że w sprawie téj może tkwić tajemnica, którą jéj zachować kazano; nie chciała więc prowadzić rozmowy w tym przedmiocie. Blanka widząc jéj milczące usposobienie, wyciągnęła się w wygodnym fotelu i w błogim spoczynku spoglądała na kominkowy ogień. Wejście Kennedego i Dermota nie wpłynęło wcale na zmianę jéj postawy.

— Cudownie piękna!—pomyślała sobie Sybilla, spoglądając na nią i widząc spojrzenia dwóch panów zasiadających naprzeciwko.

— Panno Cains, — rzekł Kennedy, — wyglądasz pani tak zadowolona ze swego spoczynku, że w istocie grzech śmiertelny przerywać go, ale mimo to, śmiem ci zaproponować partyą szachów.

Kennedy lubił grę w szachy i czasami grywał z Blanką wieczorami. Zwykle nie odmawiała; teraz jednak starała się wyminąć propozycyą.

— Czy koniecznie? — rzekła trochę niechętnie.—Czemu pan nie zagrasz z Sybillą?

— Sybilla nie lubi szachów.

— To z panem Dermot. On gra doskonale; wiém o tém.

Kennedy spojrzał nieco zdziwiony na Dermota, który uśmiechnął się, rzeczywiście nie przecząc. Kennedy zapytał z pewną powagą:

— A zkądże pani wiész, że Dermot gra w szachy?—ja, przyznam się, nie wiedziałem?

— Bo mi mówił, a ja zawsze wierzę, kiedy się kto sam chwali.

Kennedy rozśmiał się.

— Zazdrość współzawodnicza — rzekł. — Wiém, że pani grasz bardzo dobrze, niech Dermot sam osądzi. Edwardzie, pójdź zagraj partyą z panną Cains, a ja będę się przypatrywał.

— Z przyjemnością — rzekł Dermot, wstając i przynosząc maleńki stoliczek do szachów, który postawił przed panną Cains. Śmiała się, potrząsała głową, tłómaczyła lenistwem, wkońcu podniosła się i grać zaczęła. Zaledwie kilka posunięć zrobili dwaj antagoniści, gdy przyniesiono list panu Kennedy. Usunął się na stronę dla przeczytania go i zamiast potém wrócić do szachistów, pogrążył się w głęboką zadumę przed kominkiem. Sybilla w drugim końcu salonu czytała, ale wkrótce także opuściła książkę na kolana. Była smutną, nie wiedziała dlaczego. Całe ubiegłe życie stanęło jéj przed oczami. Jakże dalekim już wydawał jéj się ów czas, gdy żyła jeszcze bez troski! Naprzód zdrada hrabiego de Renneville. Czy go kochała kiedy? Gorycz, jaką obecnie czuje na wspomnienie o nim, podobno pochodzi tylko ze zdradzonéj wiary, nie ze zdradzonéj miłości. Inne zmartwienia, które późniéj nadeszły, pokryły już owe dzieje pierwszéj miłości pyłem zapomnienia. Usiłowała nawet w myśli nie ganić ojca, ale czuła to jednak, że przedstawiając pana Dermot za swego brata, uczynił krzywdę swemu dziecięciu. Nauczył ją, że fałsz może zasiąść nawet u domowego ogniska — a takiéj nauki nie trzeba dawać młodym duszom. A i ów pan Dermot, jak grał dobrze swoją rolę, jak łudził ją uczuciem i zaufaniem! Przypominała sobie Sybilla, jak płakała oparta o jego ramię, z jak bijącem sercem chwytała za każdy list

od niego! Wszyscy ją krzywdzą po kolei. I miss Glyn zraniła ją w samo serce i ujechała zostawiwszy strzałę w ranie. Sybilla nie była zazdrosną, nie mogła jednakże zapomnieć — któraż kobiéta zapomniałaby? — że jéj kochanek wolał Blankę, niż ją. Czy proroctwo panny Glyn spełni się, i Blanka stanie się jéj mimowolną rywalką? Toby był szczyt przeciwności. Spojrzała na nią. Panna Cains przechyliwszy się w fotelu, trzymała podniesioną rękę w zamiarze stanowczego posunięcia. Pan Dermot pochyliwszy się naprzód, z rękami opartémi o stół, patrzał bystro w piękną twarz przeciwniczki. Nagłe podejrzenie mignęło w głowie Sybilli. A jeżeli znikło uprzedzenie Blanki? A jeżeli on ją kocha?

Był czas, kiedy taka myśl napełniłaby była radością serce Sybilli, teraz była jéj stanowczo wstrętną. Odebrał jéj w części miłość ojca, gniewną była na niego o to i o inne jeszcze przewinienia; ale nie mogła znieść myśli, iżby jéj miał zabrać przyjaciołkę jeszcze.

WIENIEC.

— Przychodzi nam zacząć obecną swoję pogadankę z czytelnikami „Opiekuna", od rzeczy, których ani ja, ani czytelnicy naszego pisma, nie spodziewaliśmy się wcale zapewne w wieku, w którym żyjemy. Któżby, zaiste, dał wiarę temu, że w czasach tak pozytywnych, Francya, to gniazdo pozywityzmu, rzuci się, z młodzieńczą niemal werwą narodu, patrzącego w świat z kolebki cywilizacyi, do... czarów, do mglistych mrzonek czarnoksięztwa?.. A jednak, tak jest w istocie... Naród, co na sztandarach swéj wiedzy wypisał dewizę: „Walka o byt",—ten naród, by podjąć zasłonę z przyszłości, zagrożonéj obecnym stanem rzeczy, zapomina, że przyszłość wywalcza się zdrową, trzeźwą pracą; że ona tylko i zawsze ona, w stanie jest poprawić to, co się zepsuło i, drżąc z obawy i niecierpliwości, zbiega się tłumnie do czatujących na łatwowierność jego oszustów, po rozwiązanie téj wielkiéj zagadki politycznéj: *co z Francyą będzie jutro?..* Stare przysłowie: „honores mutant mores", zamienić teraz wypada na inne, a mianowicie: „dolores mutant mores"'.... Stoliki wirujące, tomaburgowie, tabularze, słowem wszystko, co milczało już, upokorzone światłem rozumu,—teraz wyhyla się powoli ze swych ciemnych skrytek i umizgiem zdradnéj syreny pociąga ku sobie tłumy, niedawno poważnie filozofujące. Na ulicy d'Anjou-Saint-Honoré w Paryżu, rozsiadło się na katedrze nowéj, a raczéj odnowionéj mądrości, jakieś indywiduum, otoczone cudownością, coś w guście czarnoksiężnika, czy kabalarza, sobowtór Cagliostra, czy panny Lenormand,—które wyguduje zbierającym się doń rzeszom dziwy, zdolne poruszyć i przerazić kamienie... i chyba tylko kamienie!...

Traktując przyszłość polityczną Francyi, z powagą i namaszczeniem natchnionego proroka, wygłasza ten jegomość, że w tym jeszcze karnawale Napoleon III wróci do Paryża, lecz po ośmiodniowém panowaniu na ruinach władzy dzisiejszéj Rzeczypospolitéj, ubitym zostanie wystrzałem pistoletowym, w teatrze, przez kobietę otwierającą mu lożę. Po tym pierwszym akcie arcy-wzruszającéj tragedyi, Francya będzie miała drugą edycyą kommuny, przejrzaną, lecz bardzo zlekka poprawioną, a następnie Henryk V-ty zgniecie tę hydrę anarchyi, odbuduje Tuillerye, w których miesiąc cały przespawszy na kwiatach odurzających wonią monarchizmu, strąconym zostanie z piedestału swéj władzy przez rozruch straszliwy i wtedy dopiéro i jedynie wtedy, zakwitnie i utrwali się we Francyi Rzeczpospolita *douce, calme, polie.* Jeżeli dodamy do tego wszystkiego wyszłe niedawno w pozytywnéj Lutecyi dzieło, p. t: „La fin des temps", które na 210 stronicach rozprawia o cudach, czarach i przepowiedniach, to czémże obok tego będą drobne utworzyki lunatyczne, znakomitego ongi Berastadamus'a, za ś. p. panowania astrologii?..

— A teraz, odetchnijcie, czytelnicy szanowni, swobodniéj, wchodzimy bowiem w świat wiedzy i prawdy.

Niéma, jak sądzimy, ani jednego człowieka, któryby nie uszanował pracy dążącéj do pożytku społecznego, któryby nie powitał z uśmiechem szczerego spółczucia, tych produkcyj umysłowych, o których Diderot, ów Diderot, co nie bawił się wcale w pruderyą, wyrzekł: „dzieła jedynie trwałe są te, które mają na celu moralność." A czyż może być coś więcéj moralnego, jak to wszystko w świecie piśmiennictwa, co ma na celu kształcenie młodzieży? Opinja więc publiczna, objawiająca się za pośrednictwem organów prassy peryodycznéj francuzkiéj, powiada: *„iż błogosławiony to czas, w którym na ruinach utworów prawdziwie potwornych, na zwaliskach powieściopisarstwa, w którém zaledwie 5 do 6-ciu arcydzieł można naliczyć, podnosi głos prawda ucząca i bawiąca młode umysły po ludzku.* Recenzent w „Journal Universel" z lubością rozpisuje się o wyszłéj na gwiazdkę we Francyi: „Bibliotece dla nauki i rozrywki młodzieży." Znajduje się tam najpiérw 11-sty i 12-sty rok, (1870—1871), dzieła znanego już z wartości swéj pedagogicznéj: „Le Tour du Monde." Następnie, utwory p. Juliusza Sandeau, który bawiąc uczy. Serya powiastek tego autora zaczyna się prawdziwém cackiem pouczającém „Skała Mew." Daléj idą powiastki, które prassa francuzka zaleca sąsiadom swym w Europie, dodając, że p. Sandeau, umiejący patrzéć w głąb' serc i myśli młodzieży, na jeden tylko zarzut zasługuje, a mianowicie, że odzywa się tylko zaledwie od czasu do czasu. Po nim zasługuje na uwagę autor, równie mający udział w téj Bibliotece, p. Juljusz Verne, który tam wpisał się utworami takiémi, jak: „20,000 mil podróży pod morzem", „Kapitan Hatteras", „Pięć tygodni w balonie", „Dzieci kapitana Granta" „Podróż do środka ziemi" i t. d. Zbiór ten nie wzgardził rzeczami pożyczonémi od obcych i słusznie,—bo taka zamiana godniejszą jest stosunków ludzkości, jak wzajemne felowanie się kartaczami. Na zakończenie téj wzmianki o piśmiennictwie dla młodzieży, z przyjemnością zwiastujemy, w roli, jaką przeważnie zakreślił sobie „Opiekun", że i u nas, do licznych dziełek, o których mówiliśmy już w poprzednich naszych gawędach, pod rubryką „Nowin", p. M. Orgelbrand, wydał jeszcze dla dzieci dwie książeczki: „Trzy lata pobytu w Ameryce" i 150 powiastek Hoffmana, p. t. „Bóg obfitości."

— Po czterdziestu *reklamach*, trzynastu *popisach*,
Trzydziestu *walnych sessyach* i szumnych — *podpisach*....
myślicie ,że dodam: „zwyciężył Marek Piotra?"
Nie — nie zwyciężył... ale tylko . . . .

Wyszedł w świat *„Wieniec"*, pismo czasowe illustrowane, mające, według głoszeń dobrze częstowanych przez siebie trębaczy, zabić od jednego zamachu: Tygodnik Illustrowany, Kłosy i nawet... niech mu Bóg tego zamiaru nie pamięta!... naszego Opiekuna.

Wyszedł—no i wyszedł!...

I takie wielkie rzeczy w sobie nam pokazał, że nietylko w nim młodszego i to znacznie młodszego braciszka Tygodnika Illustrowanego tudzież Kłosów, ujrzeliśmy, ale nawet... ba!—oby tylko i mniejszym znacznie, od tych *starszych* braci swoich, pisemkom, dorównał.

Kuryer Warszawski, lubiący zwykle utrzymywać stare związki przyjaźni, pośpieszył się już z reklamą na korzyść owego *„Wieńca"*, rzekąc — (mówię po staropolsku!) — jakoby największą ozdobą pierwszego numeru tegoż, był artykuł „Praca", a drugą—wiersz *piękny* Sowińskiego, bez tytułu.

Otóż my, przeczytawszy także od deski do deski *„Wieniec"*, ośmielamy się nadmienić czytelnikom swoim, iż pomijając już bezdarność wspomnionego artykułu „Praca", w którym nie o *zastosowaniu*, jakby się było można spodziewać, a o potrzebie tylko pracy, rzeczy jak świat stare, się prawią,—wiersz ów właśnie Sowińskiego, nazwany przez Kuryer Warszawski, *pięknym...* tak niedołężnym pod względem formy i nieprawdziwym pod względem treści, nam się wydał, iż przypuszczamy, że p. Sowiński przez żart go tylko napisał, a pan Redaktor *„Wieńca"* dla spróbowania tylko chyba, jak wyglądają w polskiém piśmie ozdobne i z ogonkami litery, kazał wydrukować „Wiedza zabija poezyą!" — oto treść owego wiersza. Pytamy się p. Sowińskiego, czy sam dlatego że zmądrzał zanadto przez *wiedzę*, tak kiepskie zaczyna pisać *wiersze?*

Zupełnie innym jest wiersz, który, w chwili właśnie, gdy to piszemy, napłynął nam, jak wspaniały kwiat oleandru na bladéj, z bandylów skleconéj łodzi, — w drugim nunerze „Wieńca" p. t. *Róża Infantki*, przekład Klemensa Podwysockiego, z legendy wieków W. Hugo. To—piękno, to—prawda i to... poezya!

Nie można tłómaczenia podnieść bardziéj do oryginalności. P. Podwysocki zasługuje się prawdziwie literaturze naszéj, témi przekładami swémi.

Ale téż.. oprócz tego wiersza, nic znowu więcéj i w tym drugim numerze „Wieńca", nie znaleźliśmy.

O dalszych numerach, jako też i o wszystkich innych, starych i nowych pismach, podamy wktótce szersze sprawozdanie w przeznaczonéj do tego stale, rubryce, p. t. *Prassa peryodyczna.*

Na ten zaś raz.. koniec z nowinami.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.